

Krakowski Akademicki Klub Alpinistyczny

Komunikat Klubowy Nr 4 grudzień 2012

Witamy serdecznie,

Trochę czasu upłynęło od ostatniego wydania Komunikatów, ale życie czasami komplikuje ambitne plany redaktorów – więc bardzo, bardzo przepraszamy – mamy nadzieję, że tak długich przerw już nie będzie. Uczciwie mówiąc, żadnych terminów specjalnie nie obiecujemy / nie obiecywaliśmy, poza tym, że w miarę możliwości będziemy specjalnie dla was przypominać nasze klubowe sprawy. Za to przypominamy, iż nasze Komunikaty otrzymują wyłącznie osoby związane z naszym klubem – tylko od was zależy czy zechcecie się nimi dzielić z osobami spoza bazy danych. Jak na dzisiejsze standardy informacyjne, zgodnie z którymi wszyscy piszą o wszystkim i praktycznie każdy może to przeczytać - możemy więc czuć się naprawdę ekskluzywną ekipą.

Święta za pasem i zbliża się koniec roku 2012, więc w tym wydaniu zaczniemy od nadrobienia zaległości. Danek Śmigielski już dawno napisał drugą część swojej „bujdałki” o klubowym wyjeździe w Dolomity. Poniżej przeczytacie całość tego super opowiadania, a do tego są czarno-białe zdjęcia z jego osobistej kolekcji i z jego autorskimi podpisami.

Patrzcie uważnie na te zdjęcia. One najlepiej pokazują nasze klubowe życie. Na piątym zdjęciu widać grupę SZCZĘŚLIWYCH ludzi, a w tle światła Wenecji... Czy trzeba coś więcej pisać o naszych poglądach i marzeniach z tamtych lat ?

W drugiej części Komunikatu zamieszczamy kilka zdjęć z zimowej wspinaczki w Tatrach.

Gdzieś w końcu lat 80-tych miałem przyjemność wspinania się ze Staszkiem Kalitą.

Chyba wszyscy pamiętamy jak wyjątkowym człowiekiem był Stachu i mamy świadomość, że to jest jeden z takich ludzi niestety raczej niezastąpionych. Przypomnę, że Staszek zmarł po szybko atakującej go chorobie 22 lutego 2000 r w wieku 39 lat. Może ktoś ma możliwość napisania czegoś więcej o nim, bądź przynajmniej zamieści jakieś zdjęcia ?

(WM)

KLUBOWY OBÓZ W DOLOMITACH - LATO 1981 r

Wersja 2.1 *



Danek Śmigielski – autor relacji

Fot. Marian Bala

(*) =oznaczenie Redakcji

Wojtek Masłowski zaproponował mi ,abym napisał coś o wyjazdach klubowych, do reaktywowanego Komunikatu KAKA. Dobry pomysł. Uważam jednak ,że szczegóły personalne, wykaz dróg, ect, mają mniejsze znaczenie . To znajdzie się, mam nadzieję szybko , w bibliografii komunikatów KAKA. Jak coś pisać dla dziewczyn i chłopaków to niech to będą popularne bujdałki. To się lepiej czyta. Bo to nasze lata, nasze dni. A więc...

O tym, że załapałem się na klubowy wyjazd w Dolomity powiedział mi "Teść". Byłem wtedy na Orniku . "Teściu", wówczas sekretarz klubu, spytał po prostu, czy mam książeczkę walutową. Mam, a co. Bo jedziesz w Dolomity. I tyle. Ornik był w te lata popularny, bo gdy w kwietniu-maju w Morskim Oku spadały dalej lawiny , a na Hali, w długiej kolejce ,kłócili się i bili się miłośnicy Tatr i narciarstwa(gdzie leziesz, gdzie podchodzisz ch..u, wyp...), to tu było ciepło, słonecznie, mało śniegu i co tu dużo mówić ,dojrzały pomarańcze. Ornik był przyjazny z przynajmniej dwóch względów. Klub organizował tu obozy i pracowały tam zaprzyjaźnione dziewczyny. Niektóre nawet związane z klubem. Basienka, Teściówna, siostry Bigos i nomen omen, Śmigielska, wówczas bez zębka na przedzie. Szybko z Andrzejem Marciszem kapnęliśmy się, że nocowanie w grotce, w anilanach pod „Szarym Zacięciem” to nie bajka i szybko zmieniliśmy kwaterunek. Albo u dziewczyn, albo po prostu wchodziło się do pokoju na piętrze i pytało; są wolne miejsca. Tak, te wolne, dziękuję. Pod Raptawicą i Raptawicką Granią, Kazalnicą Miętusią nikt nikogo nie ścigał. Bo i czasy były inne. Prócz ogłupiałego Werona, taterników nikt nie gonił, bo i może była wtedy większa świadomość, że kilkadziesiąt osób nie może przeszkodzić w kopulacji kóz i baranów w przeciwieństwie do tysięcy wujów i wujenek na drodze pn."Postanowili odwiedzić Tatry". W każdym razie ,te niezapomniane chwile, woda lejąca się po schroniskowych schodach w lany poniedziałek i przemoczona do cna dziewczucha, pozostają do dziś w moich oczach. No zresztą, dalej nie było gorzej. Trochę się wspinano, a życie towarzyskie kwitło. Tak więc ,wylądowaliśmy z Teściem i dziewczynami w Kirach nad potokiem i popijaliśmy piwko a Teściu chyba się nawet zakochał. Wracaliśmy do Krakowa, gdzie ,tak się wszystkim zdawało, dogorywała komuna , po latach dynamicznego niedorozwoju. Zresztą, ruscy po miesiącu, góra dwóch, mieli nam buty lizać. Na razie, na odcinku handlu, sytuacja się ustabilizowała ,nie było nic do kupienia a mój kontakt z tzw. towarem ograniczał się do wtorku. Pod moim pokojem był obuwniczy, gdzie właśnie w tym dniu dostarczano produkty . Od mniej więcej trzeciej rano, już nie mogłem spać, bo rumor, rozmowy ,kłótnie, trwały do dziewiątej. Po otwarciu sklepu jeszcze krótkie ,co najwyżej godzinne, ale donośne odgłosy bitwy o buty i już spokój do przyszłego tygodnia. Piszę o tym, nie po to aby przypomnieć co się działo, ale podkreślić najważniejszy aspekt wyprawy, jedzenie, które trzeba było zorganizować. Przydzielona 100 dolarowa promesa i obiecane przez rodziców , wyjęte z zapasów bieliznianych „na czarną godzinę” 150 dorców stwarzało bajeczne perspektywy ,ale pod warunkiem, że będziesz miał w worach ze trzydzieści kilo żarcia, które pozwoli ci przeżyć bez wystawiania żebraczego kubeczka pod kościołem w Belluno. Konserwy załatwiła mi jakaś kobieta, którą znała była moja dziewczyna. Rybki były z osławionych magazynów na Łęgu, gdzie przetrzymywano je „aby wygłodzić społeczeństwo”. Zupy w proszku, wyłącznie” żurek biały” w ilości 20 sztuk na głowę wydebił Mareczek Szpot. Jak teraz myślę o żurku... to przepraszam , podajcie mi nóż. No i żółty ser, w powłoce z ,kur...a czerwonej stearyny. W warunkach włoskich upałów stopił się, spleśniał i połączył trwale z "powłoką ochronną" ,którą ekipa kucharska ,wydłubywała kozikami ,przez blisko połowę czasu trwania obozu. Drużyna była ,jak się mówi drugoligowa, bo największe byki ,oczywiście jechały do Chamonixu. Tak więc kierownik , "Licha" czyli Kaziu Liszka. Był okropnie stary, bo po trzydziestce, prawie jak od Andersa, ale spokojny i absolutnie bezkonfliktowy i nie wiem do dziś ,jak on to robił, że nikogo do siebie nie zrażał. Żona Lichy, jego miłość licealna, pracowniczka urzędu celnego, fajna, zgrabna babka spoza klubu, którą okropnie zbluzgałem po transporcie worów. O co?

nie wiem, po prostu się napatoczyła, mało, do dziś mi za to głupio. Wojtek "Szymon" Szymendera, już wtedy autorytet, a co dopiero teraz! A jaki fotograf i jaki utalentowany! Papaje, które już wówczas miały się bardzo ku sobie i co tu dużo mówić, szczęśliwie. Mela Kapłoniak, z którą wiecznie się kłóciłem, zwłaszcza o jakąś taśmę??!?, ale jak na ówczesną pracownicę domu wariatów im. Babińskiego, dziewczyna z charyzmą. Mareczek Szpot, już wtedy niezły lekarz i fajny, rozsądny gość, partner. „Łysy”, Leszek Kozik, budzący właściwy szacunek, nogami po amputacji palców, które wystawiał do słońca. I oczywiście „Rico”. Jakbym napisał „legenda”, to gdyby żył, pewnie by się uśmiechnął w ten charakterystyczny, dyskretny sposób i powiedział: tylko bez zbędnej fanfaronady. Rzecz jasna „Drzewus” Witek Sierpowski, którego mało znałem, choć często bywał na Zakrzówku. Był introwertykiem. Pochodził, jak mówił „Rico”, z oszczędnej rodziny. Ciągle muszę jeździć w Taterki, rzeźnią po nocy, narzekał „Rico”, bo dla „Drzewusa” PKS jest za drogi”. No i Jurek Farat -aparatus „Stary Bularz”, który miał najcięższy plecak, zawierający różne prywatne wyroby alpinistyczne oraz miseczkę, z której, po cichu, po ciemku, chrupkał potrawy. Na koniec, Jasiek Świder z KW, który prywatnie dołączył „Sęp” bo tak go wówczas przezywano, nie tylko skutecznie podrywał dziewczyny, ale był powszechnie lubiany. Świderka po prostu nie sposób nie lubić. No i ja, Danek- smokofilomidanek -wesoły smok, tralala, jak do mnie mówił Szymon. Aby wyjechać, różne papiery trzeba było wypełnić, ale w porównaniu ze współczesną euronobolszewią, to była zwykła betka. W poprzednim komunikacie jest tego próbką z mojego archiwum. Jechać wówczas na „West” i to wieczornym wagonem do Wiednia to było coś. Jak na wyprawę za siedmioma górami. Odprowadzało nas co najmniej kilkanaście osób z klubu, brakowało tylko spłakanych rodziców. Jeszcze chwila, jeszcze moment i spełniają się marzenia. Jedziemy, lepsi, wybrani.

(...)Koła zwalniają obroty. Ze zgrzytem hamulców(...).Chwila oczekiwania co się wiekiem zdaje. Wiele osób znów czyni znak krzyża świętego. Słysząc szepty... Ludzie boją się tutaj mówić głośno... I już w asyście żandarmów z ogromnymi szablami wychodzi z kancelarii dzwoniąc ostrogami u cholew oficer w zielonkawym mundurze. Obok żołnierz niesie wielką skórzaną tekę z licznymi przegródkami. Wchodzą groźnie do wozów(...).Odbierają paszporty i przepustki, przechodzą przez cały pociąg, strzeżony pilnie z obydwóch stron. Niechby ktoś próbował wysiąść przed czasem! Wreszcie pierwszy akt skończony. Przeszedł dość lekko. Drugi gorszy. Rewizja!(...) Czyżby to nasi przyjaciele Czesi? Ależ skąd. To wspomnienia księdza Józefa Winkowskiego przy przekraczaniu kordonu w Jaworznie Szczakowej. To było na początku XX wieku, a co czekało nas w latach 80-tych? Najpierw szedł niepozorny wacek co filował przez drzwi do przedziału, kto tu podejrzany, może dywersant, później cap bez ostróg ale w czapie wielkości koła młyńskiego, zbierający paszporty, wreszcie szweju albo dwóch w raboczym kombinezonie, uzbrojony w latarkę i śpikulec, którym sprawdzał czy nie wywozimy np. synka Michałka Kwaśnego. Na szczęście do jaj makaronów, przetworów mięsnych i majtek nie zaglądano. Jeszcze jeden gwizdek i już jesteśmy w krainie „Wolnej Europy” Wiele razy później, pytano mnie, zwłaszcza rodzice, jak tam jest, no i jak to wygląda. Gadałem jakieś androny i opowiadałem cuda, choć najważniejsze jest pierwsze wrażenie. Po latach uważam, że kwintesencją tych wrażeń było zdanie Jacka Jasińskiego, „Półkmięcia”. Staliśmy kilka lat później, przy oknie wagonu, wjeżdżając też do Wiednia, a Jacek tym swoim gderliwym głosem powiedział: popatrz, nawet na składowisku mają złom poukładany.... No właśnie. I tak wylądowaliśmy w krainie posegregowanych śrub i szyn. Na przesiadkę do Wenecji było trochę czasu tak, że wyznaczono dyżury przy betach, bo te austriaki to podobno strasznie kradną. Pierwszą wartę wylosowałem ja z Ricem. Jak się już wszyscy rozeszli do miasta, odbiłem pół litra jabłecznika, żeby czas szybciej leciał. Jak chodzi o wspinanie, to Rico oczywiście był mistrzem z pewnością, z dość odległą nadzieją dorównania, ale jeżeli chodzi o to drugie hobby to tu musiałem się jeszcze wiele, bardzo wiele

nauczyć... Po godzinie Rysiu chodził po peronie i swobodnie rozmawiał po polsku z niemiaszkami a mnie pilnowały wory. Jak wrócił Liszka to załamał ręce. Ale proszę wsiadać ,drzwi zamykać ,bo jedziemy do krainy naszych westchnień. Na szczęście Włochy kojarzą mi się nie z łzawym „Sercem” Amicisa ale z tą pyszną sceną z filmu, gdzie Dolas mówi: co to jest ,wojsko czy burdel? Si, si generale, burdello militare. My ludzie spokojni. I to by się zgadzało, bo jak kilka lat potem chłopaki z klubu jechały tę samą trasą, to jeden z kuzynów powiedział: co za kraj ,co to jest, wszędzie takie same nazwy miejscowości. Co stacja kolejowa to „Uscita” i Uscita. Takie tu porządki. Ciepło, ciepło, coraz cieplej i nareszcie śmierzcząca Wenecja. „Licha” tym razem, nie powierzył mi pilnowania betów, ale wysłał na miasto. Wszystko było proste ,bo Marek Szpot kupił przewodnik po Wenecji, więc Plac św. Marka i reszta, był nasz. Jednak te cholerne butelki z winem, kieliszki, talerze, krzesła ,parasole, ogródki restauracyjne, powodowały coraz to większe nasze wk...nie .Bo co jak co , Tintoretto i Rafael i któryś tam wenecki Doża to fajni faceci, ale przecież trzeba coś zjeść. Wreszcie, po długim się włóczeniu, trafiamy w jakieś ruiny fabryczki na weneckim zadupiu , gdzie można spokojnie okorować konserwy „birschinke”. Lepiej. Niezawodny „Szymon” odpala prawdziwego NRD-go juvla (pamiętacie? w odróżnieniu od ruskiego, dyszę czyściło się taką fikuśną rączką z drucikiem),gdzie waży się herbatka. No teraz, to możemy zwiedzać i nie narzekać. Wieczorkiem wracamy na dworzec. To były piękne, normalne czasy, gdzie na weneckim dworcu pokotem spało tysiące ludzi i nikomu do głowy nie przychodziło, aby turystom przeszkadzać w śnie. Leżymy więc w śpiworkach a „Łysy” opowiada na dobranoc jak to z „Urbanem” pojechali do Rzymu: Jedziemy, ale nie mieliśmy gdzie nocować, ktoś nam jednak powiedział, że spoko-koko wszyscy nocują na schodach hiszpańskich a zwłaszcza hippisi. I wszystko się zgadzało i było w pytkę do wieczora, kiedy całe towarzystwo się zwinęło a my zostaliśmy sami ze schodami jak te sieroty. Belluno, Belluno, nareszcie. ”Licha” zaraz poleciał telefonować do tych swoich włoskich funfli , z którymi robił jakąś okropną ścianę. Podobno teraz to jakieś figury a jeden to nawet burmistrz czy co. No i wylądowaliśmy na pięterku jakiejś garkuchni, gdzie po dłuższym czekaniu, jak to pięknie zaostrza apetyt, podano pizzę. Matko Boska Skoczicka, jaka była dobra. Fundator od razu urósł w moich oczach. Jaki bogaty i jaki wpływowy myślałem, żeby tak zapodać podanie pizzy dla tylu osób. Chyba coś więcej niż burmistrz, może nadburmistrz. Pewnie się dalej doskonale wspina, choć ten brzusek troszku mu przeszkadza. Ten Rossi to naprawdę równy gość. W każdym razie, jak to zwykle po orgazmie bywa , wylądowaliśmy na ulicy. Idziesz na winko, spytał Rysiek. Wpadłem w panikę. Rany boskie, tak wydawać dolary, a co rodzice by na to powiedzieli. Na szczęście w takich przypadkach zaważył rozsądek. Rodzice są przecież daleko .Więc spróbujmy tego winka bianco Oczywiście ,po którejś lampce, przechodząc przez ulicę, zwinęła nas policja. No i dogadaj się z Włochami po polsku, zwłaszcza gdy się tak wygląda, jak wygląda. Może tego nie odczuwaliśmy, ale teraz też tak jest. Idziesz ulicą i od razu widzisz, kto jest jest ruchal, choćby to był sam Abramowicz. Trudno, więc się dziwić włoskim policajom. Choć wygodne są te włoskie radiowozy i tak się szybko nimi jeździ, to jednak każda przyjemność ma swój koniec. Zajechaliśmy suką w krzaki, na rogatkach miasteczka, gdzie mieliśmy spać.” Licha” wygiełgał się ze śpiwora, na co policjanci odpięli zabezpieczenie kabur od pistoletów. A miało być tak pięknie...Papiery ,świstki, paszporty i jesteśmy, o mama mija, uratowani. Zamglony wzrok Liszki, błakał się w odległym masywie górskim. Na koniec dnia przyjeżdża kolejny partner „Lichy” z baterią wina domowego. Te italiane jednak dają się lubić.

Z historycznego i starożytnego centrum Belluno najbardziej podobały nam się sklepy sportowe. Oczywiście łaziliśmy prawie całą grupą budząc wśród sklepikarzy przerażenie, tylko do dziś nie wiem, czy troską o towar czy też zapachami, które wydzielaliśmy po czterech dniach podróży. Na pewno nie był to zapach niezapominajki. Za to włochale, cuchli , według

definicji, którą kilka lat później podał „Szalony” w odniesieniu do Tomka Lewandowskiego „Pęcherza”: jako ludzie, którzy nadużywają dezodorantów. To było po prostu nie do zniesienia. Haki kupione, karabinki też, resztę się zdobędzie na „west menach”. Jak jednak kupić plastikowy 25 litrowy kanister na wodę. A po kiego grzyba w ogóle taka bańka. Nie wiem, kto to wymyślił, myślę, że Rico, Przebojem wyjazdu miało być polskie przejście direttissimi Torre Trieste. To było bardzo do niego podobne. Tak naprawdę wyróżnikiem wspinania „Rica” nie była wspinaczka klasyczna, w której był oczywiście wielce ceniony, ale zamięłowanie do niecodziennych dróg. Chęchy, koszarne pionowe trawy latem, ścieki wody, przewieszane kamieniołomy, drogi mityczne; Szczoty Wołoszyńskie, Kopa Siana w Pieninach, jakieś peryferie gór. Zboczony albo nawiedzony. Tak sobie po latach myślę, że na pewno nie. To jest właśnie indywidualny zapach gór. I to tu” Rico” był prawdziwie nieśmiertelny. Dokupiono też do bańki, plastikową rurę, bo obraz ”na wąskiej półeczce, we Włoskich Dolomitach, polski taternik pije wodę, podnosząc 25 litrową kanister z wodą do ust”, mógłby zainteresować NASA, nie mówią już o Bajkonurze .A więc Listolade , początek cienkiej czerwonej dupy . Jeszcze trochę dyrdymał. O leniwych Włochach, którzy nie interesują ścianami rzęchami, dookoła wylotu doliny. Według morskoocznej definicji są znaczące, a drogi na nich byłyby kamieniem milowym w rozwoju światowego wspinactwa. No i do roboty. W moim życiu przytrafiło mi się wiele dobrych rzeczy ale jeżeli chodzi o dźwiganie ciężarów, dwie złe: obóz w Kieżmarskiej z Kozickim i ten właśnie w Dolomitach. W Kieżmarskiej sprawę rozwiązało pół litra spirytusu, które podjął chatar i załadował wory, w połowie trasy, do samochodu. Marek Kozicki, właściciel flaszki, cały czas twierdził, że to jest narodowy napój Słowaków, po wypiciu którego dochodzi do rękonożoczynów . Tu było gorzej. No wyobraź sobie Stefano czy jakiegoś Ricardo, który daje setę, przepraszam co ja mówię, pięćdziesiątkę, no niech będzie jeszcze mniejszy kielonek spirouli i uderza w twarz. Do dziś miałby uśmiech Ciocioliny. Więc wory na plecy .Patentów na dźwiganie było kilka. Ja i jeszcze kilka osób miałem następujący: dwa mniejsze riukzaki, co nie znaczy lżejsze, noszone wahadłowo .Rzecz jasna, straszna była obawa, że plecak oczekujący ktoś rąbnie. Ciągłe przed oczyma jawił nam się obraz wiejącego Włocha z 30 kilogramowym worem i ścielącym się za nim zapachem gnijącego sera żółtego .Oczywiście byłby to bieg przez płotki. Dalej podążał ”Licha” z dziwacznym pakunkiem z wystającymi rurkami, który na miejscu miał się okazać hitem eksportowym wyjazdu czyli namioto grande werande. Za nim truchtała małżonka, jak każda szanująca się kobieta z wizytową torebką na ramieniu. Kawalkadę zamykał” Stary Bularz”, który niósł jeden plecak, którego komin wystawał mu 5 metrów nad głowę. Sam Jurek, nie nazywał go inaczej jak szafką i mówił, że nieść taką szafkę to są poważne korby. Wieczorkiem, gdy zmierzch zapadał powoli, wchodziliśmy wężykiem, na łączkę, opodal dołu na śmieci schroniska Vazzoler . Miałem tak dość, tak bardzo dość, że tylko patrzyłem, aby się na kimś wyżyć za moją udrekę. O idzie Liskowa z torebką i zapodaje o konieczności wydźwignania jej siateczki gdzie miała wyjściowe majteczki. Paluła, paloma , tylko na to czekałem. I naprawdę do dziś mi jakoś nieswojo. Sorry Waluś(-ka)....Jesteśmy na miejscu .Do jutra, tawariszcz Cassin, nu pagadi!!!

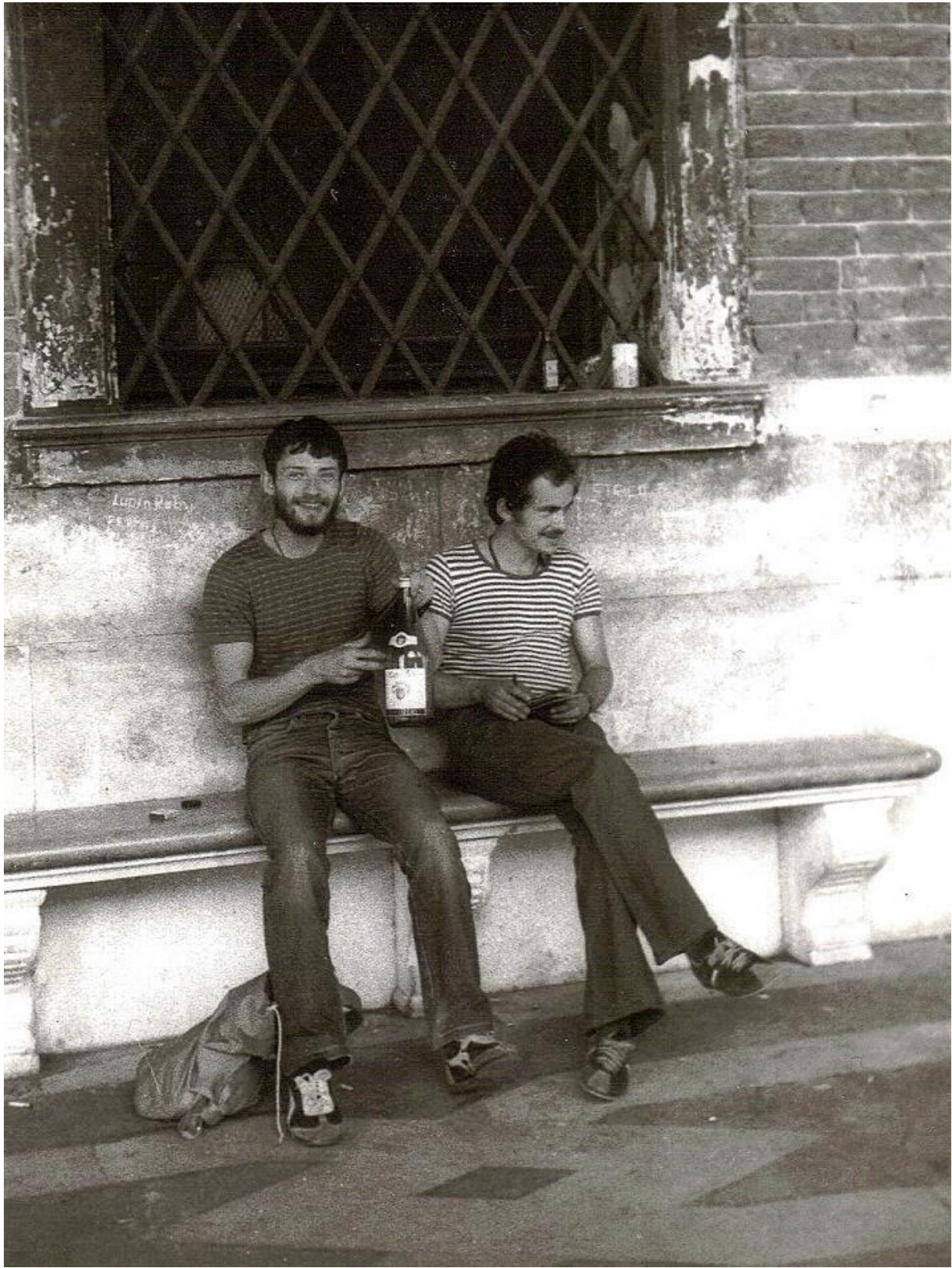
Jak się spodobało? Pewnie sporo mojej sklerozy pomieszało fakty i chronologię. Nie brakuje też tego, co nazywamy licentia poetica. Nikogo też nie chciałem dotknąć, obrazić. Z góry też kogokolwiek przepraszam za moją niezręczność. Wybaczenie przyjaciele smarkaczowi, przecież byłem na tym wyjeździe najmłodszy. Nie mam też nic do ruskich, prócz tych co ubiorą rondel-czapkę, bądź byli ongiś na wywczasach w Niemczech a teraz udają demokratów . Jak się spodobało dopiszę ciąg dalszy albo napiszę o Marynie, który nie mógł zdać ruskiego i na obóz sylwestrowy przytachał skrypt o kołach zębato-napędowych w lokomotywach . A może o robotach na wysokościach. Mocno ściskam dłoń. Danek.



Fot. D. Śmigielski, Piękna Wenecja.



Fot. D. Śmigielski, Śmierząca Wenecja.



Wenecja - Plac św. Marka. Na ławeczce pod wieżą dzwonnicy. Po prawej Marek Szpot. Ja oczywiście z winkiem.



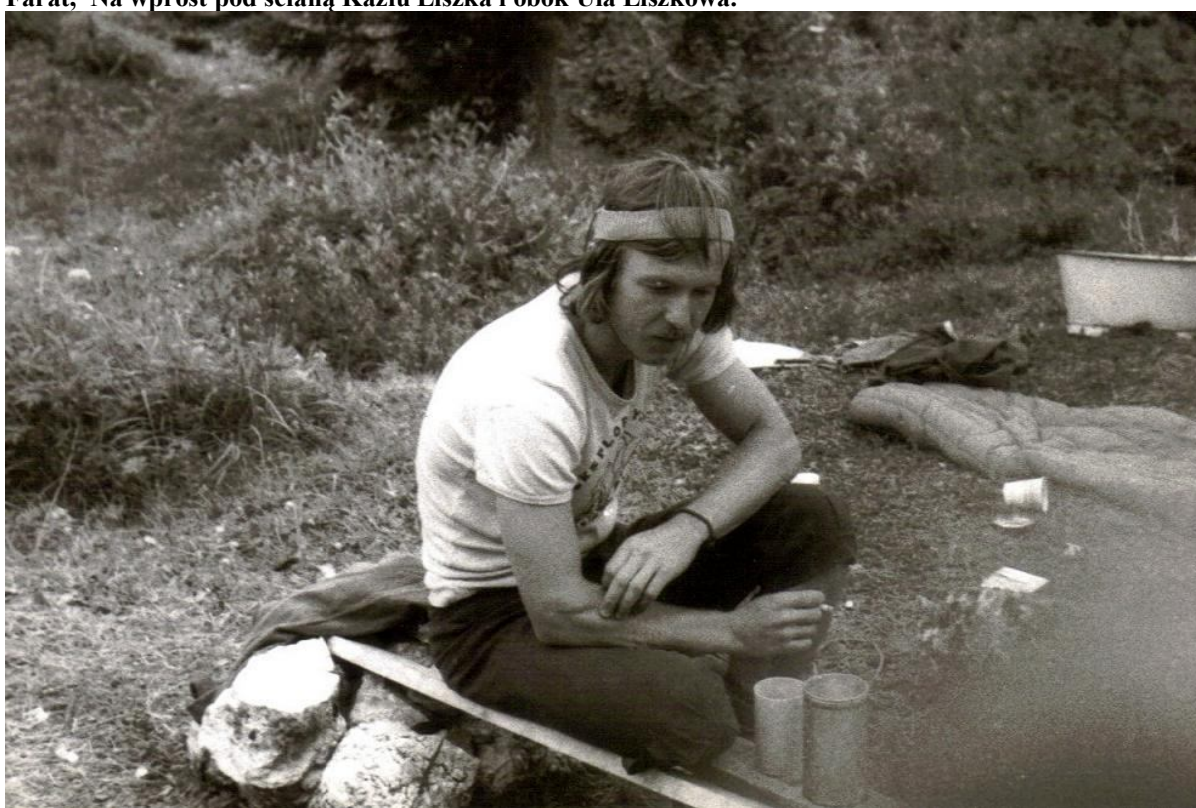
Fot. D. Śmigielski, Wenecja Plac św.Marka. Pod wieżą dzwonnicy. Od lewej wstydlivy Jurek Farat, Helenka Jordan i nieodłączny Rysiek Papaj, Marek Szpot, Mela Kapłoniak, Rysiek Malczyk i butelka. Stoi Wojtek Szymendera.



Wenecja wieczorkiem. Na wyspie pod bazyliką San Giorgia Maggiore. Na dalszym planie Plac św.Marka. Od lewej: Wojtek Szymendera, Bogdan Śmigielski, Helenka Jordan, nieodłączny Rysiek Papaj, który stanowczo zbyt się posunął z tą ręką, w białej czapce Mela Kapłoniak, Marek Szpot i na końcu Jurek Farat.



Fot. D. Śmigielski, Na dworcu w Belluno. Na pierwszym planie Rysiek Malczyk, za nim Helena Jordan, pochylony nad worem Wojtek Szymendera. Stoją od lewej: tyłem Mela Kapłoniak, Marek Szpot, Jurek Farat, Na wprost pod ścianą Kaziu Liszka i obok Ula Liszkowa.



Fot. D. Śmigielski, Masyw Civetty - na łączce pod schroniskiem Vazollera - Leszek Kozik "Łysy" rano po nocnym przejściu grani schroniskowego śmietnika. Papieroszek uspokajający po mocnych przeżyciach.



Fot. D. Śmigielski, Masyw Civetty - na łączce k. schroniska Vazzolera. Leszek Kozik "Łysy" klaruje sprzęt przed wspinaczką.



Fot. D. Śmigielski, Rysiek Malczyk "Rico" i Witek Sierpowski "Drzewus" odpoczywają po I polskim a III w ogóle, przejściu direttissimi Torre Trieste. Wygodnie, bo Rico leży na dmuchanym materacu. franca ważył ze 3 kilo. Z tyłu wspomniany hit eksportowy wyjazdu : namioto grande verande (tak mawiał dzierżawca schroniska Pierro). Boże jak zazdrościliśmy Liszce. Podobno dostał 200 baksów. Smutno mi się zrobiło opisując zdjęcie, gdy pomyślałem, że obu chłopaków już nie ma.



Fot. D. Śmigielski, Impreza na łączce. Od lewej w "żabce" Jurek Farat, dalej tyłem, w panterce Rysiek Malczyk, dalej Helena Jordan, kuca Mela Kapłoniak, nad nią z ręką wyciągniętą do "Starego Bularza" Rysiek Papaj. Pod ręką Ryśka włoski imprezowicz. Ręka na prawo bezimienna. Nad Italiańcem, ładna, włoska? blondynka. To chyba efekt stacjonowania wojsk niemieckich na półwyspie Apenińskim. Stoi bokiem Mareczek Szpot, pod nim Świderek, choć widać tylko oczy, a niżej sweterek rączki "Bularza".



Inny motyw imprezy - od lewej: Włoszka, Włoch i jeszcze jeden kudłaty Włoch. Oczywiście mieszkańcy mafijnego miasta Salerno. Dalej zasluchany Rysiek Papaj i ja w pasiastej koszulce. Kończy zdjęcie Włoszka. Co grał ten Ricardo nie pamiętam, ale nie były to nuty do filmu "Ojciec Chrzestny".



Fot. D. Śmigielski, Ciąg dalszy przyjęcia - od lewej Wojtek Szymendera, Marek Szpot, dwie Włoszki, tu widać, że brakło Armii Czerwonej, aby geny wymieszać oraz dwie starsze panie z rodziny Pierra, dzierżawcy schroniska. No - co prawda, Rico w czasie imprezki jakoś inaczej je nazywał, ale jak to Szymon mawiał: wyszło z Rica bydelko.



Fot. D. Śmigielski, Inny motyw imprezki - tyłem w swetrze Włoch. pochylony, jakże by inaczej nad Helenką, Rysiek Papaj, dalej Rico, otwierający butelki. Nad nim Witek Sierpowski "Drzewus". W głębi "Szymon".



Masyw Civetty. Włoskie dziewczyny a nad nimi polskie majtki i staniki. Dalej Rysiek i ja.



No cóż, na ostatnim zdjęciu, Wasz opowiadacz Danek. Kości to jest coś !

W Tatrach – wspinaczka ze Staszkiem Kalitą

Kiedyś - chyba pod koniec lat 80-tych, podczas klubowego obozu na Słowacji wybrałem się ze Stachem na krótką wspinaczkę na Żelaznych Wrotach. Bazą wyjściową było schronisko nad Popradzkim Stawem.

Zamieszczam kilka zdjęć z tego pięknego, zimowego dnia.

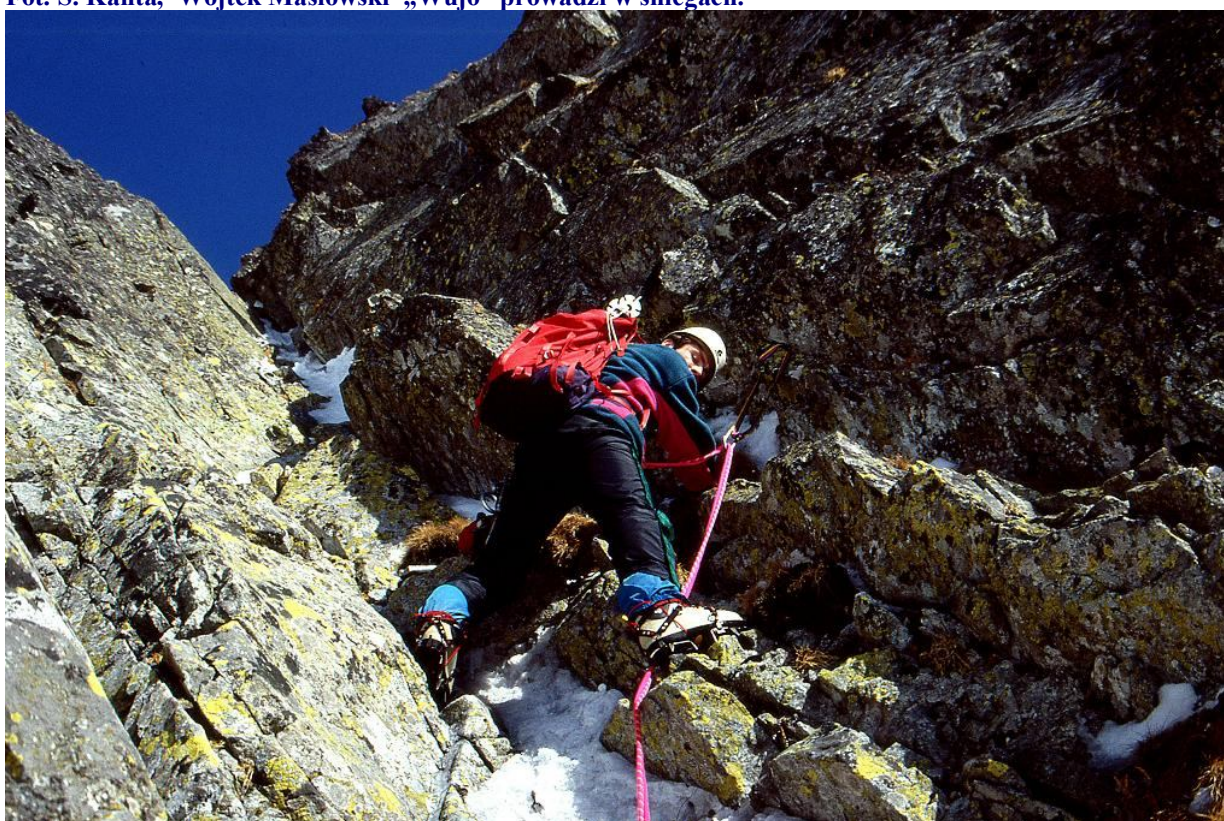
Wojtek Masłowski



Fot. W. Masłowski, Staszek Kalita wyciąga sprzęt.



Fot. S. Kalita, Wojtek Maslowski „Wujo” prowadzi w śniegach.



Fot. W. Maslowski, Stachu Kalita prowadzi w skalach.



Fot. S. Kalita, Wojtek Masłowski „Wujo” na piku – Wschodnim Szczycie Żelaznych Wrót.



Fot. W. Masłowski, Staszek Kalita na piku. W tle dominuje Wysoka, na lewo od niej Szarpane Turnie.



Fot. W. Maslowski – po zejściu do Doliny Złomisk. W tle Żelazne Wrota.

**Ponieważ nie nastąpił zaplanowany przez Majów koniec świata – proszę przyjmijcie od Redakcji:
Najserdeczniejsze Życzenia Wesółych Świąt Bożego Narodzenia oraz Radosnych Chwil w Górach, Spełnienia Marzeń i Wszelkiej Pomyślności w Nowym Roku 2013 !**



Czekamy na następne materiały – zdjęcia i dokumenty z życia Krakowskiego Akademickiego Klubu Alpinistycznego. W razie potrzeby możemy pomóc w ich przetworzeniu na nośniki cyfrowe.

Wyciągnijcie z szuflad zdjęcia sprzed lat i pokażcie za naszym pośrednictwem wszystkim klubowiczom. Spiszcie na kawałku papieru lub dysku komputera Wasze wspomnienia. Zadzwońcie lub napiszcie do Redakcji Komunikatów. Pamiętajcie, że Majowie ustalili, iż ponad wszelką wątpliwość z każdym rokiem jesteśmy coraz starsi...

Szanujemy prawa autorskie osób, które udostępniają nam swoje zdjęcia i wspomnienia. Dlatego publikacja treści zawartych w Komunikatach Klubowych w jakichkolwiek mediach bez zgody Redakcji, bądź autorów i posiadaczy materiałów źródłowych jest zabroniona.

Pozdrawiamy wszystkich !

Wojtek Masłowski tel. 601-97-35-87 email w.maslowski@onet.eu

Zbyszek Płatek tel. 501-147-192 email : platek.z@wp.pl

Wojtek Szymendera tel. 695-696-361 email : wojtek_szymendera@onet.eu